

Klasyka literatury dziecięcej



FRANCES HODGSON BURNETT

TAJEMNICZY OGRÓD



Klasyka literatury dziecięcej

FRANCES HODGSON BURNETT

TAJEMNICZY OGRÓD



Rozdział I

Nikt się nie ostał

W chwili gdy Mary Lennox została wysłana do Misselthwaite Manor dla zamieszkania tam przy wuju, twierdzono ogólnie, że było to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziano. I było to szczerą prawdą. Twarz jej była mała, chuda, postać mała i chuda, włosy miała jasne, rzadkie, skwaszony wyraz twarzy. Włosy jej były żółte, jak żółta również była twarzyczka, ponieważ Mary urodziła się w Indiach i wiecznie zapadała na zdrowiu – to na to, to na owo. Ojciec jej był na stanowisku rządowym, wiecznie zapracowany i sam chory; matka zaś, słynna piękność, dbająca jedynie o siebie, lubiąca zebrania, zabawy, otaczająca się młodym, wesołym towarzystwem. Nie pragnęła ona zupełnie dziecka; toteż gdy Mary na świat przyszła, oddała ją pod opiekę niańki Hinduski, zwanej w narzeczu tamecznym Ayah, której dano do zrozumienia, że jeśli jej chodzi o względy pani, to powinna dziecko trzymać o ile możliwości jak najdalej od jej oczu. Kiedy zatem Mary była chorowitym, niezdolnym, brzydkim niemowlęciem, usuwano ją matce z drogi; a gdy stała się chorowitym, niezdolnym, zaczynającym chodzić dzieckiem, usuwano ją również sprzed matki oczu. Mary nie pamiętała, by z bliska widziała kogokolwiek innego prócz ciemnych twarzy swojej Ayah i reszty służby hinduskiej, a ponieważ jej byli posłuszni we wszystkim ze względu na to, że wrzaskami swymi mogła w razie oporu rozgniewać panią, przeto Mary w szóstym roku życia była najwięcej despotycznym i samolubnym zwierzątkiem, jakie kiedykolwiek żyło na kuli ziemskiej. Młoda nauczycielka Angielka, która ją miała nauczyć czytać i pisać, tak trudne miała zadanie, że po trzech miesiącach porzuciła miejsce¹,

1 porzucić miejsce – tu w znaczeniu: zrezygnować z pracy.

a inne jej następczynie uciekały po krótszym jeszcze przeciagu czasu. Toteż gdyby Mary nie była przyszła² po prostu fantazja i chęć poznać książki, nie byłaby się chyba nigdy zapoznała z alfabetem.

Pewnego rozpaczliwie upalnego rana, gdy miała lat około dziewięciu, zbudziła się w bardzo złym humorze, a humor się jej jeszcze o wiele pogorszył, skoro spostrzegła, że służąca stojąca przy jej łóżku to nie jej Ayah.

– Po coś przyszła? – rzekła do obcej kobiety. – Nie pozwalam ci tutaj zostać. Przyślij mi moją Ayah.

Kobieta patrzyła na Mary wystraszonym wzrokiem i wyjąkała, że Ayah przyjść nie może, a kiedy Mary wpadła w pasję i biła ją i szczypała, Hinduska patrzyła na nią coraz bardziej wystraszona i powtarzała, że Ayah w żaden sposób do panienki przyjść nie może.

Owego ranka było coś tajemniczego w powietrzu. Nic nie było wykonane w zwykłym porządku, a kilku hinduskich sług brakowało, ci zaś, których Mary widziała, skradali się lub uciekali z twarzami przerażonymi. Lecz nikt jej nic nie chciał powiedzieć; a jej Ayah nie przychodziła. Mary zostawiona była sama w dalszym ciągu i wreszcie wyszła do ogrodu i zaczęła bawić się sama pod drzewami w pobliżu werandy. Udawała, że urządza klomby z kwiatów, i zatykała wielkie szkarłatne pęki kwiatów w małe kupki ziemi i przy tym złość jej rosła, i dziewczynka mruczała do siebie pod nosem wszystko, co powie niani, gdy ta powróci.

– Świnia! Świnia! Córka świni! – mówiła, bo nazwać Hindusa świnią jest najstraszniejszą obelgą.

Zgrzytała zębami ze złości i wciąż powtarzała to samo, gdy wtem usłyszała, że matka jej jest z kimś drugim na werandzie. Była tam z młodym blondynem i stali tak oboje, rozmawiając przyciszonym, dziwnym głosem. Mary знаła młodego blondyna, wyglądającego na chłopca. Słyszała, iż był to bardzo młody oficer, świeżo

2 była przyszła – forma czasu zaprzeszłego, używanego do mówienia o czynnościach, które miały miejsce przed innymi czynnościami w przeszłości; obecnie coraz rzadziej używany.

z Anglii przybyły. Dziecko patrzyło na niego, ale patrzyło i na matkę. Mary przyglądała się zawsze matce, ilekroć udało jej się ją widzieć, ponieważ „pani” – Mary tym mianem najczęściej nazywała matkę – była taką wysoką, wysmukłą, śliczną osobką i nosiła takie uroczne suknie. Włosy jej były niby faliste przedzie jedwabne, miała mały, wykwintny nosek i wielkie, śmiejące się oczy. Wszystkie jej suknie były cienkie i powłóczyste, a Mary mówiła, że „pełno na nich było koronek”. Lecz dzisiaj wydawało się, że więcej na niej koronek niż zazwyczaj, lecz oczy jej nie śmiały się wcale. Były szeroko otwarte i błagalnie wzniesione ku twarzy młodego oficera.

Mary usłyszała jej słowa:

– Czyż tak bardzo źle? Tak bardzo?

– Strasznie – odrzekł młody człowiek drżącym głosem. – Strasznie, pani. Powinna pani była wyjechać w góry przed dwoma tygodniami.

Wtedy pani Lennox ręce załamała.

– Och! wiem, że powinna była wyjechać – szlochała. – Wszak zostałam jedynie dla tego pikniku niemądrego. Jakże byłam szalona!

W tejże chwili doszedł ich uszu taki lament rozpaczliwy z baraków dla służby, że pani Lennox gorączkowo chwyciła za ramię młodego oficera. Mary zaś drząc poczęła na całym ciele. Lament i jęki stawały się coraz głośniejsze.

– Co to? Co to? – szeptała przerażona pani Lennox.

– Ktoś znów umarł – odpowiedział młodzieńczy oficer. – Nie mówiłaś, pani, że zaraza wybuchnęła między służbą pani.

– Nic o tym nie wiedziałam! – zawołała. – Chodź pan ze mną, chodź! – I odwróciwszy się, wbiegła do wnętrza domu.

Nastąpiły potem rzeczy okropne i tajemniczość poranka tego wytłumaczona została małej Mary. Oto cholera³ wybuchnęła w najgroźniejszej swej formie i ludzie padali jak muchy. Jej Ayę zabrano w nocy chorą, a lament ów w zabudowaniach służby powstał był

3 cholera – choroba zakaźna, wywołana bakteriami; nieleczonej cholera prowadzi do śmierci.

właśnie wskutek jej śmierci. Do dnia następnego zmarło jeszcze troje służby, reszta w trwodze i popłochu uciekła. Paniczny strach opanował wszystkich, a ludzie marli jeden po drugim.

W zamęcie i przerażeniu następnego dnia, zapomniana przez wszystkich, Mary ukryła się w dzieciennym pokoju. Nikt o niej nie pomyślał, nikt jej nie pragnął, a tymczasem wydarzyły się dziwne a straszne rzeczy, o których nie wiedziała nic zgoła. Mary na przemian płakała lub spała. Wiedziała tylko, że ludzie chorowali i że słychać było tajemnicze, przerażające jakieś głosy. W pewnej chwili wśliznęła się do jadalni, którą znalazła pustą, jakkolwiek częściowo dopiero opróżnione półmiski stały na stole, a talerze i krzesła wyglądały tak, jak gdyby je poodsuwano w pośpiechu. Dziewczynka zjadła owoców i biszkoptów, a dla ugaszenia pragnienia wypila szklanek całą stojącego opodał wina. Wino było słodkie, lecz Mary nie знаła jego mocy. Po małej chwili uczuła odurzenie, wróciła do swej nursery⁴ i znów się zamknęła, przestraszona krzykami i odgłosami uciekających kroków. Uczuła ogarniającą ją, nieprzewycięzoną sennność, położyła się na łóżeczku i na bardzo długo straciła świadomość tego, co się wokół niej dzieje.

Tymczasem zaszło bardzo wiele, gdy Mary spała snem tak twardym, lecz jej już nie budziły ani jęki, ani odgłosy wnoszonych i wynoszonych przedmiotów.

Po przebudzeniu Mary leżała jeszcze, patrząc w sufit. W domu była cisza zupełna. Nie znała ona ciszy takiej nigdy przedtem. Nie słyszała ani głosów, ani kroków niczych i ciekawa była, czy już wszyscy wyzdrowieli i czy trwoga minęła. Ciekawa też była, kto będzie się nią opiekował po śmierci jej Ayah. Będzie zapewne nowa Ayah i może nawet umieć będzie nowe bajeczki. Mary była już, co prawda, znużona dawnymi. Nie płakała ona zupełnie z powodu śmierci swej niani. Nie było to dziecko tklive i nie dbało nigdy o nikogo. Hałasy, biegania, jęki i lament z powodu cholery straszyły ją jedynie, a teraz była zła, bo nikt zdawał się nie pamiętać o jej istnieniu. Zanadto

4 nursera – pokój dziecięcy.

wszyscy byli przerażeni, by myśleć o dziecku, którego nikt nie lubił. Kiedy cholera wybuchła, każdy zdawał się myśleć tylko o sobie. Ale teraz, gdy już wszystko minęło, przyjdzie ktoś zapewne, by zobaczyć, co się dzieje z Mary.

Lecz nikt się nie zjawiał, a podczas gdy dziewczynka leżała wyczekując, dom cały zdawał się zapadać w coraz to głębszą ciszę. Usłyszała, że coś się czołga po matach na podłodze i, spojrzawszy w dół, ujrzała małego żółwia, czołgającego się wzdłuż muru i patrzącego na nią oczkami jak brylanty. Nie złąkała się wcale, gdyż wiedziała, że to stworzonko niewinne, które jej krzywdy nie zrobi, a tymczasem żółwik zdawał się śpieszyć, by się jak najprędzej z pokoju wydostać. Wyśliznął się wreszcie przez szparę pod drzwiami.

– Jakże jest cicho i spokojnie! – rzekła do siebie. – Zdawać by się mogło, że prócz mnie i żółwia nikogo w domu całym nie ma.

W tymże samym momencie usłyszała kroki w ogrodzie, następnie na werandzie. Były to kroki męskie i kilku mężczyzn weszło do domu, rozmawiając przyciszonym głosem. Nikt nie wyszedł na powitanie, nikt do nich nie przemówił, a oni zdawali się otwierać jedne drzwi po drugich i zaglądać do pokoi.

– Cóż za spustoszenie! – usłyszała Mary. – Ta śliczna, urocza kobieta! Sądzę, że i dziecko; bo słyszałem, że miała córeczkę, choć jej nigdy nikt nie widział.

Mary stała pośrodku swego pokoju, gdy w kilka minut później drzwi do niej się otwały. Wyglądała na brzydką, niesforną dziewczynkę, a drżała przy tym z głodu i oburzenia, że o niej tak niegodziwie zapomniano. Pierwszy, który wszedł, był to starszy oficer, którego Mary widziała niegdyś rozmawiającego z ojcem. Wyglądał na zmęczonego i wzruszonego, ale gdy spostrzegł Mary, tak się przeraził, że literalnie⁵ skoczył wstecz.

– Barney’u! – wykrzyknął. – Tutaj jest dziecko! Dziecko zupełnie same! W takim miejscu! Na miłość boską, kto ona?

5 literalnie – dosłownie.

– Jestem Mary Lennox – rzekła dziewczynka, prostując się sztywno. Pomyślała sobie, że ten pan jest bardzo niegrzeczny, że dom jej ojca nazywa „takim miejscem!”. – Zasnęłam, gdy wszyscy chorowali na cholere, i właśnie teraz się obudziłam. Czemu nikt do mnie nie przychodzi?

– To jest to dziecko, którego nikt nigdy nie widział! – zawołał oficer, zwracając się do swych towarzyszy. – Zapomnieli o niej wszyscy!

– Dlaczego o mnie zapomnieli? – zapytała Mary, tupiąc nogami. – Czemuż nikt nie przychodzi?

Młody człowiek, którego nazwano Barney, spojrział na nią z ogromnym smutkiem. Mary zdawało się nawet, że mu powieki zadrgały, jakby od łez.

– Biedne małeństwo! – rzekł. – Nie ostał się nikt. Nikt przyjść nie może.

I w ten oto dziwny i nieoczekiwany sposób Mary dowiedziała się, że nie ma już ni ojca, ni matki; że umarli oboje i że ich w nocy pochowano, a nieliczni słudzy, którzy uniknęli śmierci, opuszczali dom jak mogli najspieszej, zapominając o istnieniu „panienki”. Oto przyczyna tej głuchej ciszy otaczającej Mary. W całym domu została przy życiu istotnie tylko ona i mały żółw.

Rozdział II

Panna Mary kapryśnica

Mary lubiła z daleka patrzeć na swą matkę i znajdowała ją uroczą⁶, ale nie знаła jej prawie wcale, nic też dziwnego, że nie mogła jej kochać, ani tęsknić po niej, gdy ją straciła. I nie tęskniła zupełnie, a ponieważ była zawsze dzieckiem nader egoistycznym, przeto wszystkie swe myśli skierowała ku sobie, jak zresztą zawsze zwykła była czynić. Gdyby była starsza, może by przeraziła ją myśl, że została całkiem sama na świecie, ale przecież była jeszcze mała i inni o niej myśleli, sądziła zatem, że tak zawsze być musi. Chciała tylko wiedzieć, czy znajdzie się teraz między ludźmi miłymi, którzy będą dla niej grzeczni i pozwolą jej na wszystkie wybryki, jak to czyniła jej Ayah i reszta służby.

Wiedziała o tym, że nie pozostanie w domu pastora, gdzie ją na razie umieszczono. Nie życzyła sobie tam pozostać. Pastor był biedny, miał pięcioro dzieci, wszystkie prawie w równym wieku; sukienki ich były brudne, a dzieciaki klóciły się ciągle i wydzierały sobie zabawki. Mary nienawidziła brudnego domu pastora i taka niezdolna była dla wszystkich, że po dwóch dniach żadne z dzieci nie chciało się z nią bawić. Drugiego zaraz dnia dali jej przezwisko, które ją wprawiało w furję.

Pierwszy pomyślał o tym Bazyli. Był to mały chłopczyk o blade niebieskich oczach i zadartym nosie i Mary cierpieć go nie mogła. Bawiła się sama pod drzewami, tak samo zupełnie, jak owego dnia fatalnego. Robiła klombiki z ziemi, ścieżki – a Bazyli stał w pobliżu i przyglądał się. Naraz zajęła go zabawa i podał projekt.

– Czemu nie ustawisz kupki kamieni, niby, że to są skały? – rzekł do niej. – O! tutaj, w środku. – I pochylił się, by wskazać miejsce.

6 znajdowała ją uroczą (dawn.) – uważała, że jest uroczą.

– Idź precz! Nie cierpię chłopców, idź precz! – wołała Mary.

Przez chwilę Bazyl był zły, potem zaczął się droczyć. Droczył się zawsze z siostrami. Zaczął około niej tańczyć i podskakiwać, śmiał się i śpiewał:

– Panno Mary, kapryśnico.

Odwróć zagniewane lico!

Czy w ogródku rosną kwiatki,

Maki, fiołki i bławatki?

Śpiewał dopóty, dopóki reszta dzieci nie posłyszała i nie zaczęła śmiać się z nim razem. A im gorzej Mary się złościła, tym więcej śpiewali: „Panno Mary, kapryśnico”, nazywając ją tak później między sobą, a nawet wtedy, gdy do niej się zwracali.

– W końcu tego tygodnia pojedziesz do domu – rzekł do niej Bazyl. – A my się strasznie z tego cieszymy.

– Ja też cieszę się strasznie – odparła Mary. – Ale gdzie jest „dom”?

– Ona nie wie, co znaczy „dom”! – rzekł Bazyl z oburzeniem. – To znaczy oczywiście Anglia. Nasza babunia tam mieszka, a siostra nasza, Mosel, pojechała do niej w zeszłym roku. Ale ty nie masz babuni, ty pojedziesz do wuja, który się nazywa pan Archibald Craven.

– Nie wiem nic o nim – sapła Mary.

– Wiem, że nic nie wiesz – odparł Bazyl. – Dziewczęta w ogóle nic nie wiedzą. Słyszałem, jak rodzice o nim mówili. Otóż wuj twój mieszka w ogromnym, rozległym, opuszczonym domu na wsi i nikt u niego nie bywa. Taki jest niemiły, że nikogo by nie przyjął, a gdyby chciał przyjąć, to by znów nikt do niego nie pojechał. Jest w dodatku garbaty i okropny.

– Nic ci nie wierzę – rzekła Mary; odwróciła się tyłem i zatkała uszy palcami, bo nie chciała już nic słyszeć.

Długo jednakże myślała później o wszystkim, co słyszała; a gdy pani Crawford powiedziała jej tegoż wieczora, że za dni kilka pojedzie do Anglii, do wuja, pana Archibalda Craven, mieszkającego w Misselthwaite Manor, Mary wydawała się tak kamiennie i uparcie obojętną, że nie wiedziano, co o niej myśleć. Starano się traktować ją serdecznie, lecz ona odwracała twarz, ilekroć pani Crawford

usiłowała ją pocałować, i sztywna stała jak kij, gdy pan Crawford poklepał ją po ramieniu.

– Dziwne jakieś dziecko – rzekła później pani Crawford z politowaniem. – Matka jej była taką uroczą istotą i takie miała miłe obejście, a Mary to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie w życiu widziałam. Dzieci nazywają ją „Panną Mary kapryśnicą”, a choć to niepoczcziwie z ich strony, wcale im się nie dziwię.

– Być może, że gdyby jej matka była częściej zaglądała do dziecinnego pokoju, to i Mary byłaby nabrała miłego obejścia. Smutne to wspominać obecnie, gdy to uroczę stworzenie nie żyje, że większość otaczającego ją towarzystwa nie wiedziała nawet, że ma dziecko.

– Sądzę, że nawet nie spojrzała na córkę – z westchnieniem odparła pani Crawford. – Wszak gdy jej Ayah umarła, to nikt zgola nie pomyślał o tym biedactwie. Pomyśl tylko, że wszystko się rozbiegło, zostawiając to małeństwo samiuteńkie w całym tym opustoszoanym domu. Kapitan Mac Grew mi mówił, że po prostu osłupiał, gdy, otworzywszy drzwi, znalazł ją samą na środku pokoju.

Długą podróż do Anglii Mary odbyła pod opieką żony pewnego oficera, która dzieci swoje odwoziła do szkół. Była ona bardzo zajęta własnymi dziećmi, toteż bardzo była rada, gdy w Londynie mogła Mary oddać jejmości, którą Archibald Craven przysłał po siostrzenicę. Jejmość ta była jego gospodynią w Misselthwaite Manor i nazywała się pani Medlock. Była to kobieta tęga, o bardzo czerwonych policzkach i ostrych, czarnych oczach. Miała na sobie jaskrawą, czerwoną suknię, mantylę⁷ czarną, jedwabną, z dżetową frędzlą i czarny kapelusz z czerwonymi welwetowymi kwiatami, które przy każdym poruszeniu głową chwiały się i trzęsły na wszystkie strony. Mary nie poczuła sympatii do niej, ale ponieważ nigdy do nikogo sympatii nie czuła, przeto nie było w tym nic dziwnego; przy tym widoczne było aż nadto, że pani Medlock nie troszczyła się o nią zbyt.

– Słyszeliśmy, że matka jej była piękna. Nie dała urody córce w spuściznie, prawda, proszę pani?

7 mantyla – ozdobny szal, noszony na ramionach lub na głowie.

– Może wyładnieje, gdy będzie starsza – odparła dobrotliwie żona oficera. – Gdyby nie była taka niegrzeczna i miała miłszy wyraz, to rysy jej są raczej ładne. Dzieci się tak zmieniają!

– No, będzie się musiała bardzo zmienić – odparła pani Medlock. – A nie można powiedzieć, by w Misselthwaite były dobre lub jakiegokolwiek wpływy na dzieci!

Sądziły obie, że Mary nie słucha, gdyż dziewczynka stała trochę z dala, przy oknie hotelu, w którym stanęli. Przyglądała się ruchowi ulicznemu, lecz słyszała każde słowo i strasznie ciekawa była, jaki jest wuj i dom, w którym mieszkał. Co to znaczy „garbaty”? Nie widziała nigdy garbatego. Może w Indiach nie ma garbatych?

Odkąd Mary żyła między obcymi ludźmi i nie miała przy sobie swej niani, poczęła czuć się samą i myśleć o dziwnych rzeczach, całym nowym dla niej. Poczęła się teraz dziwić, dlaczego ona nigdy nie była czyjaś, nawet wtedy, gdy ojciec i matka jej żyli. Inne dzieci byli zawsze swego tatusia i swej mamusi, a ona nigdy niczyją nie była córeczką. Miała służbę i jedzenie, i sukienki. Ale nikt na nią nie zwracał uwagi. Nic wiedziała również o tym, że było to wszystko dla tej przyczyny, że ona sama była bardzo niemiłym dzieckiem; a Mary nie wiedziała, że była nieмила. Wręcz myślała o drugich, że są nieprzyjemni, lecz nie myślała tego nigdy o sobie.

Pani Medlock wydawała jej się najbardziej nieprzyjemna ze wszystkich ludzi – razila ją swoimi czerwonymi policzkami i ordynarnym, pretensjonalnym kapeluszem. Gdy dnia następnego wyjeżdżały w dalszą drogę do Yorkshire, Mary przez stację szła do pociągu z odwróconą głową i jak najdalej od pani Medlock, bo nie chciała, żeby myślano, że należą do siebie. Była zła na samą myśl, że mogliby ją wziąć za córeczkę pani Medlock.

Ale pani Medlock nie przejmowała się ani samą Mary, ani tym, co Mary sobie myślała. Była to kobieta, która „nie zawracała sobie głowy wybrykami młodych”. W każdym razie, gdyby ją zapytano, tak byłaby odpowiedziała. Nie chciała ona pojechać do Londynu nawet wtedy, gdy siostra jej, Maria, córkę wydawała za mąż, lecz pani Medlock miała wygodne, dobrze płatne miejsce ochmistrzyni

w Misselthwaite Manor, a zatrzymać je mogła nadal pod tym jedynie warunkiem, że wykona natychmiast rozkaz pana Archibalda Craven. Nie byłaby nawet śmiała zakwestionować cośkolwiek.

– Kapitan Lennox i żona jego zmarli na cholerę – rzekł pan Craven, jak zwykle krótko i zimno. – Kapitan Lennox był bratem mojej żony, jestem więc opiekunem jego córki. Dziecko przywiezione będzie tutaj. Pojedzie pani do Londynu i przywiezie je do mnie.

Pani Medlock spakowała manatki i puściła się w podróż.

Mary wtuliła się w kąt wagonu z miną kwaśną i złą. Nie miała co czytać, nie miała na co patrzeć, złożyła swoje cienie, w czarne rękawiczki obciążone rączki na kolanach i siedziała cicho. Czarna jej sukienka podnosiła i uwydatniała żółtość jej cery, a jej sztywne, jasne włosy wymykały się kosmykami spod krepowego⁸ kapelusza.

„W życiu swoim nie widziałam takiego niemilego, zepsutego dziecka jak ta!” – myślała pani Medlock. Nie widziała ona nigdy, żeby dziecko mogło tak długo siedzieć na jednym miejscu w zupełnej beczynności; toteż znużyło ją przyglądanie się dziewczynie i poczęła mówić ostrym, twardym głosem:

– Opowiem ci cośkolwiek o miejscu, do którego jedziesz – rzekła. – Czy wiesz cośkolwiek o swoim wuju?

– Nie – odparła Mary.

– Nie słyszałaś nigdy, by rodzice o nim mówili?

– Nie – odrzekła Mary i zadrżała. Zadrżała, przypomniawszy sobie, że ojciec i matka nigdy o niczym z nią nie mówili. Nigdy nie opowiadali jej o niczym.

– Hm! – mruzczała pani Medlock, patrząc na jej zamkniętą w sobie, złą twarzyczkę. Zamilkła na czas jakiś, po czym znów mówić zaczęła:

– Sądzę, że jednak trzeba cię przygotować. Jedziesz do miejsca bardzo dziwnego.

Mary nic na to nie rzekła, a pani Medlock, rozczarowana jej obojętnością, dopiero po chwili zaczerpnęła powietrza i ciągnęła dalej:

8 krep – rodzaj tkaniny, wykorzystywanej m.in. do szycia strojów żałobnych.

– W każdym razie jest to ogromny dom, lecz ponury, a pan Craven dumny jest z niego na swój sposób i to jest dziwne. Dom ten ma już sześćset lat i stoi na końcu rozległego wrzosowiska; ma on blisko sto pokoi, chociaż większość z nich jest zamknięta na klucz. I od lat całych są tam obrazy i stare, piękne meble, i różne rzeczy; wokoło jest park ogromny, ogrody i drzewa ze starymi, do ziemi dostającymi gałęzmi. – Odpoczęła, zaczerpnęła oddechu. – I to już wszystko – zakończyła nagle.

Mary mimo woli poczęła się przysłuchiwać. Wszystko, co słyszała, było tak odmienne od tego, co było w Indiach, a każda nowość miała dla niej urok. Lecz nie chciała dać po sobie poznać, że ją cokolwiek zajmuje. Był to jeden z jej nieprzyjemnych, nieszczęsnych narów⁹. Siedziała zatem cicho.

– No i cóż? – rzekła pani Medlock. – Co panienka o tym myśli?

– Nic – odparła. – Nie znam się na takich domach.

Odpowiedź ta wywołała krótki, urwany śmiech pani Medlock.

– Ech! Panienka jest zupełnie jak stara baba – powiedziała. – Czy to wszystko panienkę nic nie obchodzi?

– Wszystko jedno, czy mnie obchodzi czy nie – odparła Mary.

– Co do tego, to ma panienka rację – powiedziała znów pani Medlock. – Dlaczego panienkę zatrzymują w Misselthwaite Manor, to nie mam pojęcia. A może to najłatwiejszy sposób opiekuństwa. Że on się nie będzie o panienkę troszczył, to więcej niż pewna. On się nigdy o nikogo nie troszczy.

Zatrzymała się, jak gdyby sobie coś w porę przypomniała.

– On ma krzywe plecy – rzekła – dlatego jest taki zły. Jako młody człowiek był zgryźliwy i mimo swej fortuny nic dobrego nie zaznał, dopóki się nie ożenił.

Mary zwróciła oczy na mówiącą mimo usiłowań udawania obojętnej. Nie myślała nigdy o tym, że garbus mógł się ożenić i była nieco zdziwiona. Spostrzegła to pani Medlock, a jako niewiasta bardzo

9 narów – zły nawyk, wada, przywara.

gadatliwa ciągnęła dalej, z większym zapalem. Był to jedyny sposób skrócenia nudnej podróży.

– Ona, było to słodkie, śliczne stworzenie, a on byłby dla niej na kraniec świata poszedł po źdźbło trawy, gdyby tego zapragnęła. Nikt nie przypuszczał, że go zaślubi, a jednak zaślubiła. Ludzie mówili, że to zrobiła dla pieniędzy, ale to nieprawda. Nieprawda! – dodała z przeświadczeniem. – Gdy umarła...

Mary mimo woli poruszyła się.

– Ach! Więc umarła! – wykrzyknęła, niewiele myśląc. Przypomniała sobie była bajkę francuską, którą niegdyś czytała Riquet à la Houppe. Bajka mówiła o biednym garbusku i cudnej księżniczce, i naraż zrobiło jej się żal pana Archibalda Cravena.

– Tak, umarła – powiedziała pani Medlock – i odtąd zdziwaczał jeszcze więcej. Nie dba już o nikogo. Ludzi widzieć wcale nie chce. Po największej części wyjeżdża, a gdy jest w Misselthwaite Manor, to zamyka się w skrzydle zachodnim domu i tylko Pitchera dopuszcza do siebie. Pitcher to już stary dziad, ale opiekował się nim niegdyś, gdy był dzieckiem jeszcze, i zna dobrze jego usposobienie.

Było to wszystko dziwne jak w bajce i Mary wcale wesoło nie usposobiło. Dom o stu pokojach, wszystkich prawie zamkniętych i zaryglowanych – dom na krańcu wrzosowiska, wszystko to było dziwne niewesołe. I ten człowiek, garbaty, który się także zamykał na dziesięć spustów! Mary patrzyła oknem z zaciśniętymi wargami i zdało jej się całkiem naturalne, że w tej chwili zaczął deszcz sieć ukośnymi strugami i bić o szyby wagonu. Gdyby żyła ta śliczna kobieta, byłaby rozweselała swoje otoczenie, tak jak jej mamusia, szczebiotem, ruchliwością, chodzeniem z jednej zabawy na drugą w cudnej, ozdobionej koronkami sukni. Ale i ta już nie żyła.

– Niech się panienka nie spodziewa ujrzyć pana. Daję głowę, że go panienka nie zobaczy – rzekła pani Medlock. – I nie trzeba się spodziewać, że tam ktokolwiek będzie z panienką rozmawiał. Trzeba będzie samej się bawić i myśleć o sobie. Powiedzą panience, do których pokoi wolno jej wchodzić, a od których należy trzymać się z daleka.

Ogrodów tam pod dostatkiem. Ale nie trzeba kręcić się po domu i nosa wszędzie wtykać. Pan Craven nie życzy sobie tego.

– Wcale nie pragnę wtykać wszędzie nosa – odparła nasza mała Mary; i jak nagle zrobiło jej się żal pana Archibalda, tak teraz nagle przestała go żałować, a myślała natomiast, że był taki niedobry, że zasłużył na to wszystko, co go spotkało.

I zwróciła twarzyczkę ku oknu, patrząc na strugi ściekającego po szybach deszczu, który padał nieprzerwanie, jakby nigdy ustać nie miał. Patrzyła tak długo i uparcie, dopóki wszystko nie zaczęło jej przed oczyma szarzeć, szarzeć, aż wreszcie znużona zasnęła.

Rozdział III

Przez wrzosowisko

Mary długo tak spała. Po przebudzeniu się jej pani Medlock kupiła na jednej ze stacji koszyk ze śniadaniem, w którym były kurczęta i wołowina na zimno, chleb z masłem i gorąca herbata. Deszcz padał zawzięciej niż przedtem, a na stacjach wszyscy poubierani byli w płaszcze gumowe, lśniące i ociekające od deszczu. Konduktor zapalił lampy w wagonie, a pani Medlock rozkoszowała się swoją herbatą, kurczętami i wołowiną. Zjadła dużo, po czym sama zasnęła, a Mary siedziała, przyglądając się jej i jej kapeluszowi, który się smętnie zsunął na prawe ucho, aż wreszcie i ona zasnęła powtórnie, wtulona w kąt wagonu i ukołysana jednostajnym biciem deszczu o szyby. Było już zupełnie ciemno, gdy się zbudziła. Pociąg zatrzymał się na stacji, a pani Medlock zaczęła nią trząść.

– No, ale też panienska spała! – wykrzyknęła. – Wszakże czas już otworzyć oczy! Jesteśmy już w Thwaite, a jeszcze długa jazda przed nami.

Mary wstała i usiłowała otworzyć oczy, podczas gdy pani Medlock zbierała pakunki. Dziewczynce na myśl nie przyszło pomóc jej w tej czynności, gdyż w Indiach tubylcza służba zawsze wszystko za nią robiła i zdawało jej się zupełnie naturalne, żeby ją obsługiвано.

Była to mała jakaś stacyjka i nikt inny nie wysiadł tu prócz nich. Naczelnik stacji zaczął rozmawiać z panią Medlock w szorstki, ale pocziwy sposób, wymawiając wyrazy dziwnie rozwlekłe, tak jak, Mary to później spostrzegła, mówią w Yorkshire.

– Co to, już pani z powrotem? I przywiozła pani tę małą?

– Ehe, to ona – odparła pani Medlock, mówiąc też w narzeczu yorkshirskim i wskazując ruchem głowy Mary. – Jakże się ma żona?

– Nieźle, dziękuję. Powóz czeka tam po drugiej stronie.

Powóz stał istotnie przed zajazdem stacji. Mary spostrzegła, że powóz jest wykwinny i że wykwinny służący pomógł jej wsiąść do niego. Długi jego płaszcz gumowy i pokrycie głowy lśniły i ociekały od deszczu, jak wszystko bez wyjątku, nie wyłączając grubego naczelnika.

Gdy służący drzwiczki zatrzasnął i usiadł obok stangreta na koźle, dziewczynka usadowiła się w wygodnym, miękkim kąciku, lecz senność ją całkiem odeszła. Siedziała, wyglądając oknem i pragnąc zobaczyć cośkolwiek na tej drodze, wiodącej do owego dziwnego domu, o którym mówiła pani Medlock. Nie było to dziecko lękliwe i nie można powiedzieć, by była wystraszona, lecz czuła, że jednak Bóg wie, co się może zdarzyć w domu, w którym jest sto zamkniętych pokoi, w domu stojącym na krańcu wrzosowiska.

– Co to jest wrzosowisko? – spytała nagle panią Medlock.

– Patrz wciąż oknem, a za jakie dziesięć minut sama zobaczysz – odparła kobieta. – Musimy pięć mil jechać wrzosowiskiem, zanim dojedziemy do domu. Wiele panienka nie zobaczy, bo noc ciemna, ale cośkolwiek dostrzec można.

Mary nie zadawała już więcej pytań, lecz czekała w swym kąciku, wpatrzona uparcie w okno. Latarnie rzucały naprzód smugi światła i Mary dostrzegła zarysy przedmiotów mijanych. Po opuszczeniu stacji przejeżdżali przez małą wioskę, dostrzegła białe domki i światła w domu ludowym. Później minęli kościół, probostwo i domek z rodzajem okna wystawowego z zabawkami, słodyczami i rozmaitymi przedmiotami na sprzedaż. Później wyjechali na trakt i Mary dostrzegła żywopłoty i drzewa. Potem długo nie było nic godnego uwagi; w każdym razie Mary wydawało się to długo.

W końcu konie zwolniły biegu, jak gdyby wjeżdżały na wzgórek, i zdawało się, że już nie ma ni żywopłotów, ni drzew. W istocie Mary nie mogła nic dostrzec prócz nieprzeniknionej ciemności po obu stronach. Pochyliła się naprzód i przytuliła twarz do szyby, kiedy naraz powóz podskoczył.

– No, teraz to już na pewno jesteśmy na wrzosowisku – powiedziała pani Medlock.

Latarnie rzucały trochę światła na nierówną, złą drogę, która była jakby poprzecinana krzakami i czymś nisko rosnącym dokoła, czymś, co się kończyło gdzieś na krańcu horyzontu. Powstał wiatr, który wydawał dziwne, dzikie, szumiące odgłosy.

– Czy to... czy to morze czy nie? – spytała Mary swą towarzyszkę.

– Nie, to nie morze – odparła pani Medlock – ale też nie pola, ani góry, tylko mile całe, mile i mile dokoła dzikiego pastwiska, gdzie nic nie rośnie prócz wrzosów i gdzie nic nie żyje prócz dzikich koników zwanych ponney i owiec.

– A jednak czuję, żeby to mogło być morze, gdyby była woda – powiedziała Mary. – Takie to odgłosy wydaje, zupełnie jak morze.

– To wiatr, który jęczy w zaroślach. Dla mnie to dosyć dzikie i samotne miejsce, choć mnóstwo ludzi je lubi, zwłaszcza gdy wrzosa kwitną.

Jechały tak coraz dalej w ciemności, a choć deszcz ustał, ruszył się silny wiatr, który świszcział i niemiłe wydawał dźwięki. Droga prowadziła w górę, to znów na dół, a kilka razy powóz przejeżdżał mostki, pod którymi z łoskotem szumiały spienione wody strumyków. Mary miała uczucie, że jazda ta nigdy się nie skończy i że wielka zimna wydma to ciemny ocean, a ona przezeń jedzie wąskim pasem lądu.

„Nie lubię tej wydmy” – powiedziała sobie w duchu i cienie wargi silniej zacisnęła.

Konie piły się w górę drogi, gdy Mary pierwsza dostrzegła światelko. Pani Medlock spostrzegła je równocześnie i odetchnęła z uczuciem wielkiej ulgi.

– Kontenta¹⁰ jestem z tego światelka – zawołała – to światło w domku portiera. No, za chwilę napijemy się gorącej herbaty.

Było to „za chwilę”, jak rzekła, dość niezwykle, bo powóz po przejechaniu bramy parku musiał przebyć dwie mile angielskie alei, a drzewa, które niemal zupełnie stykały się szczytami, tworzyły nad nimi jakby długie, ciemne sklepienie.

10 kontenta – zadowolona, uradowana.

Wyjechali zeń wreszcie na jaśniejsze miejsce i zatrzymali się przed ogromnie długim, niskim, a nieregularnie zbudowanym domem. Na razie zdawało się Mary, że dom cały jest ciemny, dopiero gdy wysiadła, dostrzegła słabe światło w jednym z okien na piętrze.

Wchodowe drzwi olbrzymie, ciężkie, były zbite z masywnych, dziwnie rżniętych desek dębowych, nabijane wielkimi, żelaznymi gwoźdźmi i powiązane żelaznymi sztabami. Przez nie wchodziło się do olbrzymiego hallu, który był tak słabo oświetlony, że Mary wcale nie czuła ochoty przyglądać się starym portretom pań i panów w całkowitym uzbrojeniu. Gdy tak stała na kamiennej posadzce olbrzymiego hallu, wydawała się bardzo drobną i bardzo niezwykłą, czarną figurką i czuła się tak nikła i osamotniona, i dziwna, jak była istotnie.

Ubrany bez zarzutu, chudy, stary człowiek stał w pobliżu lokaja, który mu drzwi otwierał.

– Ma ją pani wziąć zaraz do jej pokoju – rzekł głosem zachrypniętym. – Pan nie życzy sobie jej widzieć. Rano wyjeżdża do Londynu.

– Doskonale, panie Pitcher – odparła pani Medlock. – O ile wiem, czego chcą ode mnie, z pewnością to wykonam.

– Czego od pani chcą, mościa dobrodziejo? – rzekł Pitcher. – Oto jedynie tego, aby on miał spokój zupełny i aby nie widział tego, czego widzieć nie pragnie.

Potem zaprowadzono Mary Lennox przez szeroką klatkę schodową i długi korytarz i znów w górę po kilku stopniach, i znów przez inny korytarz, i jeszcze przez jeden, póki nie natrafiono na drzwi prowadzące do jej pokoju, gdzie znalazła ogień na kominku i kolację na stole.

Pani Medlock odezwała się bez ceremonii:

– No, otóż jesteśmy! Ten oto pokój i ten obok, przeznaczone dla panienki, muszą panience wystarczyć. Proszę o tym nie zapomnieć.

W ten oto sposób panna Mary znalazła się w Misselthwaite Manor i chyba nigdy w życiu nie czuła się taką prawdziwą „kapryśnicą” jak w tej chwili.

Rozdział IV

Marta

Nazajutrz z rana Mary otworzyła oczy, gdy młoda dziewczyna weszła do jej pokoju rozniecić ogień, a teraz klęczała przed kominkiem, hałaśliwie wygarniając niedopalone węgle. Mary przyglądała jej się chwilę, leżąc, po czym zaczęła rozglądać się po pokoju. Nigdy jeszcze nie widziała nic podobnego, pokój wydał się jej i dziwny, i ponury, ściany pokryte były tkaniną, na której wyhaftowano sceny leśne. Byli tam dziwnie ubrani ludzie wśród drzew, a w dali widniały wierzchołki wieżyc zamkowych. Byli tam myśliwi, konie i psy, i piękne panie. Mary miała uczucie, że się wraz z nimi w lesie znajduje. Przez okno dostrzegła wielką przestrzeń falistego gruntu, który był całkiem ogołocony z drzew i wyglądał jak bezbrzeżne, krwawo purpurowe morze.

– Co to takiego? – spytała, wskazując przez okno.

Młoda służąca, Marta, która właśnie powstała była z klęczek, wskazała również w tym kierunku i rzekła:

– To?

– Tak.

– To wrzosowisko – rzekła z pocziwym uśmiechem. – Czy panienska lubi wrzosowiska?

– Nie cierpię – odparła Mary.

– Bo panienska jeszcze nie przywykła – rzekła Marta, wracając do kominka. – Paniencie się ono teraz wydaje takie wielkie i takie gołe. Ale ja wiem, że panienska strasznie je polubi.

– A ty lubisz je? – zagadnęła Mary.

– Ojoj! I jak jeszcze – odparła Marta, czyszcząc zawzięcie kratę kominka. – Ja moje wrzosowisko po prostu miłuję. A nie jest ono nagie, oj, nie! Całe ono roślinek cudnych pełne, a pachną ci one, oj, pachną! Toż ono śliczniuchne takie na wiosnę i latem, jak ono kwiecie

zakwitnie, one wrzosa różowe. Pachnie, jakby miód rozlał! A tyle tam powietrza, że się upić można; a niebo to tak het, het wysoko nad nim, a pszczoły i pasikoniki taki miły rozgwar czynią, tak brzęczą a dzwonią! Za nic bym nie chciała żyć z dala od mego wrzosowiska!

Mary słuchała jej słów z powagą i zdumieniem. Tubylcza służba w Indiach nic a nic podobna nie była do tutejszej. Tamci byli uniżeni, służalczy i nie ośmieliliby się nigdy do państwa odzywać się jak do równych sobie. Bili im pokłony, nazywając ich „opiekunami biednych” i inne jeszcze nadając im nazwy. Indyjskiej służbie rozkazywano, nie proszono ich. Nie było zwyczaju mówić „proszę” i „dziękuję”, a Mary biła swą Ayah po twarzy, gdy się rozzłościła. I pomyślała sobie, co by też ta oto dziewczyna zrobiła, gdyby jej dano policzek? Było to rumiane, pulchne, miłe stworzenie, ale miała dziwnie ostre obejście i panna Mary zastanawiała się, czy by ona po prostu nie „oddą”, gdyby ją uderzono w twarz i gdyby uderzającą była mała dziewczynka.

– Dziwna jakaś z ciebie służąca – rzekła wyniośle.

Marta usiadła na piętach z szczotką do czyszczenia w ręce i śmiała się, niezagniewana zupełnie.

– Dobrze to wiem – odparła, śmiejąc się. – Żeby sama jaśnie pani była w Misselthwaite, to bym przecie i pomocnicą pokojowej być nie mogła. Może by mi pozwolili być przy kuchni, ale nie do posługi w pokoju. Zanim to prosta i mówić pięknie nie potrafię. Ale to dziwny jakiś dom, choć taki wielki. Rzekłby kto, że tu ni dziedzica, ni pani nie ma, a jeno pan Pitcher i pani Medlock. Jak jaśnie pan w domu, to i wiedzieć o niczym nie chce, a wreszcie on ciągle w podróży. To pani Medlock z dobroci swojej dała mi to miejsce. Ale mi powiedziała, że gdyby Misselthwaite było takie jak inne dwory, to nigdy nie byłaby mogła przypuścić mnie do dworskiej służby.

– Czy ty będziesz moją służącą? – spytała Mary, zawsze tym samym wyniosłym, w Indiach nabytym tonem.

Marta poczęła znów czyścić kominek.

– Ja, proszę panienki, jestem służącą pani Medlock – odparła z godnością. – A ona służy jaśnie panu, ale ja niby mam robić robotę

pokojowej i panience to i owo usłużyć. Aleć panienka nie potrzebuje znów tak dużo obsługi.

– Któż mnie będzie ubierał? – zagadnęła Mary.

Marta znów przysiadła na piętach, przyglądała się Mary, nie rozumiejąc, wreszcie ze zdumieniem spytała:

– To panienka sama nie potrafi?

– Cóż to ma znaczyć? Nie rozumiem cię.

– Chciałam powiedzieć, że panienka chyba umie sama się ubrać.

– Nie – rzuciła Mary z zupełną pogardą. – Nigdy w życiu nie ubierałam się sama. Ayah zawsze mnie całą ubierała.

– W takim razie wielki czas, żeby się panienka nauczyła sama to robić – rzekła Marta, nie zdając sobie sprawy z swego zuchwalstwa. – Trzeba było młodziej zacząć. To panience dobrze zrobi, gdy sama koło swoich rzeczy pochodzi. Moja matka to zawsze się dziwuje, że dzieci bogatych państwa nie są do cna głupie, kiedy od małości niania je myją i ubierają, i na spacer prowadzą jak te lalki!

– W Indiach są zupełnie inne zwyczaje – rzekła Mary pogardliwie. Już jej to gderanie kością w gardle poczęło stawać.

Lecz Marta niełatwo się detonowała¹¹.

– Hm, ja zaraz spostrzegłam, że to tam całkiem musi być inaczej – odrzekła serdecznie. – A ja myślę, że to wszystko przez to, że tam tyle tych czarnych, zamiast pocziwych białych ludzi. Jakem usłyszała, że panienka z Indii przyjeżdża, tom myślała, że panienka też jest czarna.

Mary wściekła usiadła na łóżku.

– Co! – zawołała – Co! Myślałaś, że Hinduska! Ty... ty córko świni!

Marta spojrzała przełękła i spłosziona.

– Na kogo panienka tak mówi? – rzekła. – Nie wolno panience tak się złościć i nie powinna panienka tak brzydko mówić. A ja przeciw tym czarnym to nawet nic nie mam. Księża to nam mówią i piszą, że oni są nawet bardzo pobożni. A mówią i to, że choć to czarny, ale

11 detonować się – tu w znaczeniu: spieszyć.

zawsze on też człowiek i bliźni. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam czarnego człowieka i okrutnie się cieszyła, że nareszcie zobaczę choć jednego z bliska. Jakem tu rano weszła zapalić na kominku, to się do panienki łóżka zakradła cichutko i kołderki cichutko uchyliłam, żeby na panienkę spojrzeć. A tu panienka biała! – rzekła z rozczarowaniem – nie czarniejsza niż ja, choć panienka ode mnie znów zólciejsza.

Mary już nie usiłowała nawet zapanować nad swą wściekłością i upokorzeniem.

– I ty myślałaś, że Hinduska! I ty śmiałaś! Nie masz żadnego pojęcia o Hindusach! To nie są ludzie, to są sługi, które ci się muszą kłaniać. Nic nie wiesz o Indiach, w ogóle o niczym pojęcia nie masz.

Wpadła w taką pasję i czuła się taka bezbronna przed szczerym spojrzeniem Marty, przy tym poczuła się nagle tak strasznie osamotniona i tak oddalona od wszystkiego, co rozumiała i co ją rozumiało, że rzuciła się twarzą na poduszki i wybuchnęła szalonym szlochem. Płakała tak rozpaczliwie, że pocziwiej Marcie strasznie się jej żal zrobiło. Podeszła do łóżka i prosiła, pochylając się nad dziewczynką:

– Panienko! Nie trzeba tak płakać; doprawdy nie trzeba. Nie wiedziałam, że taką przykrość paniusi sprawię. W ogóle głupia jestem i nic nie wiem, jak panienka słusznie powiedziała. Bardzo panienkę przepraszam i proszę przestać płakać.

Było coś dodającego otuchy, coś rzeczywiście przyjacielskiego w jej mowie prostej, a szczerzej, coś, co na Mary dodatni wpływ wywarło. Przestała płakać i z wolna uspokoiła się zupełnie. Marta była uradowana.

– No, a teraz, panienko, czas wstawać. Trzeba... Pani Medlock kazała mi podać śniadanie, herbatę i obiad tu, do przyległego pokoju. Tam jest urządzony dziecinny pokój dla panienki. Pomogę się panience ubrać, jeśli panienka z łóżeczka wyjdzie. A jeśli sukienki zapinane na plecach, to naturalnie sama panienka zapiąć nie może.

Kiedy się Mary zdecydowała nareszcie wyjść z łóżka, Marta podała jej z szafy suknię inną niż ta, w której Mary przyjechała.

– To nie moja sukienka. Moja jest czarna – rzuciła Mary.

Przyjrzała się ładnej sukience z grubej, miękkiej, białej wełny z chłodnym uznaniem.

– Ale ta sukienka ładniejsza od mojej – dodała.

– A panienka musi się w nią ubrać – odrzekła Marta. – Pan Craven kazał ją kupić w Londynie. Powiedział przy tym: „nie chcę, by mi po domu chodziło czarno ubrane dziecko jak dusza potępiona”, tak powiedział. „To by ten dom czyniło jeszcze smutniejszym, niż jest. Ubierajcie ją w jasne kolory!”. Moja matka mówi, że wie, co on sobie myślał. Matka zawsze wie, co sobie kto myśli. Ona też nie lubi czarnego koloru.

– Nie cierpię czarnych rzeczy – zawołała Mary.

W czasie procesu ubierania się, obie nauczyły się rzeczy nowych. Marta „zapinała” wprawdzie swoje rodzeństwo nieraz, ale nie widziała jeszcze dziecka, które by stało jak pień, pozwoliło robić za siebie wszystko, jakby nie miało własnych rąk i nóg.

– Czemu panienka się sama nie obuje¹²? – spytała, gdy Mary spokojnie wystawiła nogę.

– Ayah mi zawsze nakładała buciki – odparła Mary ze zdziwieniem. – Taki był zwyczaj.

Mary często powtarzała: „taki był zwyczaj”. Służba hinduska zawsze zwykła była tak mówić. Gdy im kazano zrobić coś, czego ich przodkowie przed tysiącem lat nie robili, spoglądali z słodkim uśmiechem, mówiąc: „tego nie było w zwyczaju” i wiadomo już było, że sprawa skończona.

Nie było też w zwyczaju, by Mary robiła cośkolwiek; umiała stać tylko i pozwalała łaskawie, by ją ubierano jak lalkę; zanim wszakże gotowa była do śniadania, zaczęła domyślać się, że ją życie w Misselthwaite Manor nauczy wielu rzeczy – całkiem dla niej nowych – jako to: wkładania na nogi bucików, pończoch, zbierania porozrzucanych rzeczy itd. Gdyby Marta była dobrze wytresowaną panną służącą jakiej wielkiej pani, byłaby więcej służbista i byłaby wiedziała, że do niej należało wyszczotkować włosy i buciki zapiąć, i pozbierać, i poskładać

12 obuć się – włożyć buty.

rzeczy. Była ona wszakże tylko prostą wiejską dziewczyną, wychowaną w chacie wraz z gromadką rodzeństwa i myślała jedynie o tym, jak im służyć, jak się zająć maleństwami, które zaczynały stawiać pierwsze kroki.

Gdyby Mary miała w sobie więcej wesołości, byłaby się z pewnością uśmiechała z gadulstwa Marty. Ale Mary przysłuchiwała się tylko wyniośle i dziwiła się jej śmiałości. Zrazu nie zwracała uwagi na dziewczynę, ale gdy ta gadała i gadała bez końca, zaczęła z wolna uważać na jej opowiadanie.

– Oj, żeby panienka wiedziała! – rzekła. – Jest nas dwanaścioro, a ojciec zarabia tylko szesnaście szylingów na tydzień. Mówię panience, że matka to nie wie czasem, skąd wziąć na chleb dla nich. Cały dzień biegają po wrzosowisku, a matka mówi, że powietrze tutejsze ich tak tuczy i że pewna jest, że wszystkie bębny¹³ trawę jedzą jak te dzikie konie. A nasz Dick to ma już dwanaście lat i oswoił sobie małego pony i mówi, że to jego.

– Gdzie sobie oswoił? – spytała Mary.

– Ano na stepie spotkał, jak pony był jeszcze małym źrebakiem przy matce i jak mu zaczął dawać kawałki chleba, a trawkę zieloną, świeżuchną zrywać, tak też się zaprzyjaźnili. Tak się źrebiątko do niego przyzwyczaiło, że za nim chodzi i pozwoli Dickowi na grzbiecie sobie siadać. Dick to dobry bardzo chłopak i zwierzęta strasznie go lubią.

Mary nie miała nigdy na własność ulubionego zwierzątka, a zawsze mieć je pragnęła. Zaczęła więc interesować się po trosze Dickiem, a ponieważ dotychczas zajmowała ją jej osoba jedynie, była to zatem jakby jutrzienka nowego, pocziwego uczucia. Gdy weszła do przeznaczanego dla siebie drugiego pokoju, zauważyła, że był on zupełnie podobny do tego, w którym spała. A był to raczej pokój dorosłej osoby, lecz nie dziecka, z ponurymi, starymi portretami i ciężkimi, dębowymi sprzętami. Stół na środku zastawiony był pożywным śniadaniem.

13 bęben (dawn., pot.) – tu w znaczeniu: małe dziecko, brzdąc.

Lecz Mary nigdy nie grzeszyła zbytym apetytem, a teraz patrzyła więcej niż obojętnie na stawiane przed sobą potrawy.

– Nie lubię tego – rzekła.

– Co! Panienska kaszy nie lubi? – wykrzyknęła Marta niedowierzająco.

– Nie lubię.

– Panienska nie wie, jakie to dobre. Trzeba posypać trochę cukrem.

– Nie lubię tego – powtórzyła Mary.

– Okropnie nie lubię, jak się takie dobre jedzenie marnuje – rzekła Marta. – Żeby tu nasze dzieci siedziały, to by w mig salaterka była pusta.

– Dlaczego? – spytała Mary chłodno.

– Dlaczego? – jak echo powtórzyła Marta. – Ano bo one nigdy nie mają żołądków jak się patrzy pełnych. Głodne to, a jadła chciwie jak młode jastrzębie albo lisy.

– Ja nie wiem, co to jest być głodną – rzekła Mary z obojętnością prawdziwej nieświadomości.

Marta była oburzona.

– Dobrze by panience zrobiło trochę się przegłodzić, już ja wiem – powiedziała szczerze. – Cierpliwości mi braknie, jak tak kto siedzi i tylko się gapi na chleb i mięso, a nie je. Mój Boże! żeby tak naszym dzieciakom dać to wszystko, co tu jest na stole, byłaby ci uciecha, oj, była!

– Czemuż im tego zatem nie dasz? – poddała¹⁴ Mary.

– Bo to nie moje – odparła Marta z godnością. – A przy tym to nie moje wychodne. Wychodne mam raz na miesiąc, jak reszta służby. Wtedy idę do domu, porządki porobię, a matczyśko spocznie sobie dzień jeden.

Mary wypila herbatę, zjadła sucharek z odrobiną marmolady.

– A teraz niech się panienka ciepło otuli i idzie pobiegać i pobawić się na dworze – rzekła Marta. – Dobrze panience zrobi trochę spaceru i apetyt będzie lepszy na obiad.

14 poddała – tu w znaczeniu: zaproponowała, zasugerowała.

Mary podeszła ku oknu. Widać było ogrody, ścieżki, drzewa, ale wszystko wyglądało jakoś smutno i zimowo.

– Wyjść? Na co? Tak szkaradnie na dworze.

– Jak panienka nie wyjdzie, to będzie musiała siedzieć tu w pokoju, a co by tu panienka robiła?

Mary spojrzała dokoła siebie. Prawda, że nie miała tu co robić. Pani Medlock nie pomyślała o rozrywkach dzieciennych, przygotowując pokój dla dziewczynki. A może rzeczywiście lepiej będzie pójść obejrzeć ogrody?

– A kto mnie zaprowadzi? – spytała.

Marta spojrzała zdziwiona.

– Sama panienka pójdzie – odparła. – Musi się panienka nauczyć sama się bawić, jak inne dzieci, które nie mają braciszków i siostrzyczek. Nasz Dick, jak wybiegnie na pole, to godzinami całymi tam się bawi. Dlatego tylko tak się zaprzyjaźnił z kucykiem. Ma on na wrzosowisku i owieczki znajome, i ptaszki, co mu do rąk po jedzenie przychodzą. Choć tam w chacie głodno, ale on zawsze okruszyny chleba schowa na przywabienie swoich faworytów.

Wzmianka o Dicku zdecydowała Mary do wyjścia, choć dziewczynka sprawy sobie z tego nie zdawała. Na dworze będą ptaszki, choć nie będzie koników, ani baranków. Będą zapewne inne niż ptaszki w Indiach, a ją to bardzo będzie zajmować.

Marta podała jej płaszczyk i kapturek, i parę mocnych, ciepłych bucików i pokazała, którędy się schodzi na dół.

– Jak panienka tą drogą pójdzie, to znajdzie panienka do ogrodów – rzekła, wskazując na furtkę w żywopłocie. – Latem to tam kwiatów co niemiara, ale teraz pusto.

Zawahała się chwilę, po czym dodała:

– Jeden ogród jest całkiem zamknięty na klucz. Od dziesięciu lat nikt w nim nie był.

– Dlaczego? – spytała Mary mimo woli. Oto jeszcze jedno drzwi zamknięte w dodatku do owych stu w tym dziwnym domu.

– Pan Craven zamknął go, kiedy jego żona tak nagle umarła. Nie chce, żeby tam ktokolwiek chodził. To był pani ogród. A on drzwi

zamknął, wykopał dziurę i klucz pochował. Tak! Ojoj! Pani Medlock dzwoni, muszę śpieszyć!

Gdy Marta odeszła, Mary zwróciła się ku furtce w żywopłocie. Wciąż myślała o ogrodzie, w którym nikt nie był od dziesięciu lat. Ciekawa była, jak też wygląda i czy są tam jeszcze kwiaty kwitnące. Po przejściu furtki znalazła się w rozległych ogrodach, o wielkich strzyżonych trawnikach i wijących się, dobrze utrzymanych ścieżkach. Były tam drzewa i klomby, i w dziwne kształty strzyżone bukszpany, i staw z fontanną z szarego kamienia pośrodku. Ale klomby puste były, zimowe, a fontanna nie tryskała żywą wodą. To nie był ów ogród zamknięty. Ale jak można zamknąć ogród? Przecież do ogrodu zawsze można wejść.

Myślała właśnie o tym, gdy na końcu dróżki, którą szła, dostrzegła wysoki mur obrosnięty bluszczem. Nie знаła Anglii i nie spostrzegła się, że wchodzi do ogrodów warzywnych i owocowych. Podeszła do muru i spostrzegła wśród bluszczu zielone, otwarte drzwi. To przecież nie był zamknięty ogród, mogła wejść do niego.

Przekroczyła drzwi i spostrzegła, że to znów ogród murem okolony i że jest to jeden z kilku otoczonych murem ogrodów, które się z sobą łączyły. Znów dostrzegła drzwi, a przez nie krzewy i ścieżki między inspektami z warzywami zimowym. Drzewa owocowe porozpinane były na murach, a wiele inspektów przykrytych oknami. Było tu i puisto, i brzydko, myślała Mary, stojąc i rozglądając się dokoła. Może w lecie było ładniej, gdy było zielono, ale teraz tu naprawdę nic nie było godnego widzenia.

W tejże chwili wszedł furtką z drugiego ogrodu stary człowiek z łopatą na ramieniu. Na razie zdumiał się na widok Mary, potem dotknął czapki. Miał starą, pomarszczoną twarz i wydawał się bardzo niekontent, gdy zobaczył Mary. Ale i ona rozczarowana była jego ogrodem, miała swój wyraz twarzy „panny Mary, kapryśnicy” i wcale nie była zadowolona ze spotkania.

– Co to za ogród? – spytała.

– Jeden z warzywnych – odparł.

– A tamten? – spytała, wskazując przez drugie drzwi.

– Inny ogród warzywny. Po tamtej stronie muru jest jeszcze jeden, a z tamtej strony sad.

– Mogę tam iść? – spytała Mary.

– Jak się podoba. Ale nie ma nic ciekawego.

Mary nie odpowiedziała. Doszła do końca ścieżki przez drugie zielone drzwi. Tam było więcej murów i warzyw, i okien inspekcyjnych, ale w murze była znów zielona furtka, tym razem zamknięta. A może tam był ów ogród, w którym od dziesięciu lat nikt nie był? Ponieważ Mary nie była wcale dzieckiem trwożliwym, a robiła zawsze, co chciała, więc podeszła do furtki i nacisnęła klamkę. Spodziewała się, że drzwi się nie otworzą, bo chciała mieć pewność, że znalazła tajemniczy ogród – lecz drzwi otworzyły się z łatwością i Mary znalazła się w dużym sadzie. Wokoło był mur, drzewa owocowe rozpięte i inne, nagie obecnie wśród pożółklej trawy, ale drugiej zielonej furtki widać nie było. Mary rozglądała się, szukając jej; wszakże gdy wchodziła z tamtego końca ogrodu, zauważyła, że mur nie kończy się tam, gdzie sad, lecz ciągnie się dalej, jakby oddzielał znów ogród inny po tamtej stronie. Dostrzegła zresztą wierzchołki drzew ponad murem, a stojąc cicho, ujrzała na najwyższym z nich ptaszka z jasnym czerwonym upierzeniem na piersiach, który zaraz uderzył w śpiew swój zimowy – zupełnie jak gdyby ją dostrzegł i jakby ją wołał.

Stała i zaczęła słuchać, a jego miły, przyjacielski jakiś świergot rozbudził w niej dziwne uczucia i choć było z niej takie niemile dziecko, ale przecież samotne, a ów wielki zamknięty dom, wielkie, puste wrzosowiska, wielkie, puste ogrody przejęły ją uczuciem, że jest samiuteńka na tym wielkim świecie. Gdyby była czułym, tkliwym dzieckiem, mogło jej serce pęknąć z żalu, ale choć była tylko „panną Mary kapryśnicą”, przecież czuła się strasznie smutna, a ta ptaszyna patrzyła na jej skwaszoną twarzyczkę jakby z uśmiechem. Mary słuchała dopóty, dopóki ptaszek nie pofrunął. Nie był on podobny do indyjskich ptaszków, podobał się dziewczynce i ciekawa była, czy też go jeszcze kiedy zobaczy. A może ptaszek mieszka w tajemniczym ogrodzie i wie wszystko o nim?

Być może, że Mary tak dużo myślała o opuszczonym ogrodzie, nie mając nic do roboty. Była strasznie ciekawa i chciała zobaczyć, jak wygląda. Dlaczego pan Archibald Craven klucz zagrzebał? Jeśli tak bardzo kochał żonę, dlaczego nienawidził jej ogrodu? Ciekawa była, czy wuja kiedy zobaczy, ale wiedziała, że jeśli go zobaczy, to go lubić nie będzie, a i on jej nie będzie lubił; a ona stanie, będzie patrzyła na niego, ani słówkiem się nie odezwie, choć co prawda miałyby straszną ochotę zapytać go, dlaczego taką dziwną rzecz zrobił.

„Mnie nikt nie lubi i ja nikogo nie lubię – myślała – i nie umiem заплаć tak jak dzieci Crawfordów. Te wiecznie gadały, śmiały się i hałasowały”.

Myślała o gili i o tym, że zaśpiewał tak jakby dla niej umyślnie, a kiedy przypomniła sobie czubek drzewa, na którym siedział, stanęła nagle na ścieżce.

„Jestem pewna, że to drzewo jest w tajemniczym ogrodzie, jestem całkiem pewna” – rzekła do siebie. Był tam przecież mur, a nie było furtki.

Wróciła do pierwszego ogrodu warzywnego i zastała tam starego zajętego kopaniem. Podeszła, stanęła przy nim i po swojemu – chłodno – zaczęła mu się przyglądać. Nie zważał na nią, więc go zagadnęła:

- Byłam w tamtych ogrodach.
- Nic nie stało na przeszkodzie – odparł szorstko.
- Byłam w sadzie.
- A toć tam pies przy drzwiach nie siedzi, żeby gryzł – odrzekł.
- Ale tam już nie było furtki do tego innego ogrodu – rzekła Mary.
- Do jakiego ogrodu? – powiedział ostro, przerywając na chwilę kopanie.

– No, do tego po tamtej stronie muru – odparła Mary. – Tam są drzewa, widziałam czubki. A ptaszek z czerwonym gardziółkiem siedział na jakimś wierzchołku i śpiewał.

Ku swemu zdumieniu Mary spostrzegła, że szorstka, zmarszczkami poorana twarz zmieniała od razu wyraz. Słaby uśmiech rozlał

się na obliczu i stary ogrodnik zmienił się do niepoznania¹⁵. Przyszło jej na myśl, o ile ładniej się wygląda z uśmiechem na ustach. Nie pomyślała nigdy o tym.

Ogrodnik zwrócił się ku sadowi i zaczął gwizdać cichutko, łagodnie. Nie mogła pojąć, jak taki szorstki człowiek mógł umieć tak łagodnie wabić.

W tejże chwili stało się coś zadziwiającego. Usłyszała cichy lot w powietrzu. Był to ptaszek z czerwonym gardziółkiem, który opuścił się na ziemię i usiadł na grudzie ziemi tuż przy nogach ogrodnika.

– Jesteś tu! – zaśmiał się stary, po czym zaczął przemawiać do ptaszka jak do dziecka.

– Gdzieś to bywał, łobuzie jeden? Długoś się jakoś nie pokazywał. Jużes to na zalecanki wyleciał tak wcześniej? Żony sobie szukasz?

Ptaszek główkę w bok przechylił i patrzył na starego, a oczki mu świeciły, jak duże, ciemne rosy perełki. Miało się uczucie, że to ptaszyna bardzo oswojona, nietrwożliwa zupełnie. Skakał z grudki na grudkę, dziobał zawzięcie, szukając ziarenek i owadów. Dziwne uczucie zrodziło się w serduszkach Mary, taki był śliczniuchny i tak zdawał się podobny do ludzi. Był drobny, ale tłuszciosek, dziób miał cienki i wysmukłe, cienkie nóżki.

– Czy on przylatuje zawsze, gdy go zawołacie? – zapytała szeptem.

– A jeszcze by też przylecieć nie miał! Znam tego łobuza, jak to jeszcze wypierzone nie było. Wyleciał z gniazda w tamtym ogrodzie, przeleciał przez mur, ale był za słaby jeszcze, żeby pofrunąć z powrotem i od tego czasu datuje się nasza przyjaźń. A potem, gdy po kilku dniach do gniazda wrócił, było ono już puste, więc znowu przyleciał do mnie.

– A co to jest za ptaszek? – spytała Mary.

– Nie widzi ci panienka? To gil z czerwoną szyjką, a gile to najmilsze ptaszki pod słońcem. Przywiązują się też jak psy, o ile się umie z nimi postępować. Niech no panienka spojrzy, jak on dziobie, a kręci się, a na nas ciągle spogląda. Wie, bestia, że o nim mowa.

15 zmienił się do niepoznania – dziś poprawnie: zmienił się nie do poznania.

Nie było chyba nic zabawniejszego jak widok starego. Patrzył on na małego, pękatego ptaszka, jakby go kochał, a jednocześnie dumny był z niego.

– Strasznie, szelma, próżny! – Zaśmiał się znowu. – Lubi okrutnie, jak się o nim mówi. A ciekawy! Bóg świadkiem, że chyba nie ma drugiego takiego na świecie ciekawskiego i wścibskiego. Zawsze mi tu przyleci zobaczyć, co sięje albo sadzę. On i to wie, czego pan Craven nie wie. Tak, to naczelný ogrodnik, tak, tak.

A gil skakał, dziobał, przystając od czasu do czasu i przyglądając się tym obojgu. Mary zdawało się, że ptaszek przygląda jej się z szczególną ciekawością. I doprawdy tak wyglądało, jakby się wszystkiego o niej chciał dowiedzieć. Dziwne uczucie wzrastać poczęło w sercu dziewczynki.

– A gdzie poleciały te drugie ptaszki z gniazdka? – zapytała.

– Nie wiadomo. Stare wyganiają młode z gniazda i każą im latać, i rozpierzchnie się to też nie wiadomo gdzie. Ten tutaj to mądrała, wiedział, że jest sam.

Panna Mary podeszła bliżej do ptaszka, spojrzała na niego twar-
do i rzekła:

– Jestem sama.

Przedtem nie zdawała sobie sprawy, że to było główną przyczyną, dlaczego czuła się skwaszoną i w złym humorze. Nabrała tego przeświadczenia dopiero teraz, pod wpływem wzroku gila i gdy sama nań patrzyła.

Stary ogrodnik poprawił czapkę na łysinie, popatrzył na nią i rzekł:

– To panienka jest ta mała, co to przyjechała z Indii?

Mary potakując skinęła głową.

– Nie dziw, w takim razie, że panienka sama. Później, kiedy panienka będzie większa, to będzie jeszcze więcej sama – powiedział.

Począł znów kopać, zagłębiając łopatę mocno w tłustą, czarną ziemię, podczas gdy gil, zajęty ogromnie, obskakiwał dokoła.

– Jak się nazywacie? – dopytywała Mary.

Przerwał robotę, by dać odpowiedź:

– Ben Weatherstaff – odparł, a potem z dziwnym grymasem dodał: – Jam też jestem sam, chyba że ten do mnie przyjdzie. – I wskazał palcem na gila. – To mój jedyny przyjaciel.

– Ja wcale nie mam przyjaciół i nigdy nie miałam. Nawet moja niania mnie nie lubiła i nigdy się z nikim nie bawiłam – opowiadała Mary.

W Yorkshire panuje zwyczaj, żeby prawdę mówić ostro, bez ogródek, a że Ben Weatherstaff był rodem z Yorkshire, więc odparł:

– My oboje, niby panienka i ja, to sobie podobni jesteśmy. Jesteśmy ulepieni z tej samiutkiej gliny. Oboje urodziwi nie jesteśmy, ale za to skwaszeni, nieprzyjemni tak, jak nam to z oczu patrzy. No i idę o zakład, mamy równie niemiły charakter.

Powiedziane to było prosto z mostu, a Mary dotąd nie słyszała nigdy prawdy o swej osobie. Tam, w Indiach, służba biła jej pokłony i przytakiwała jej we wszystkim. Dziewczynka nie zastanawiała się nigdy nad swoim wyglądem i ciekawa była, czy rzeczywiście jest tak mało ponętna jak Ben Weatherstaff, i ciekawa była również, czy wygląda taka skwaszona jak ogrodnik, zanim gil przyfrunął. Zaczęła się także zastanawiać, czy i ona miała „niemiły charakter”. Zrobiło jej się nieprzyjemnie.

Naraz cichy, łagodny tryl zabrzmiał tuż przy niej. Odwróciła się i stanęła w pobliżu młodej jabłoni, a gil, usiadłszy na jednej z jej gałązek, w piosenkę swoją zadzwonił. Ben Weatherstaff szczerze się zaśmiał.

– Czemu on tu przy mnie tak śpiewa? – spytała Mary.

– Chce się z panienką zaprzyjaźnić – odparł Ben. – Głowę daję, że się w panience zakochał.

– We mnie? – spytała Mary i łagodnym ruchem odwróciła się ku drzewu i spójrzała.

– Chcesz być moim przyjacielem? – zwróciła się do ptaszka jak do człowieka. – Chcesz? – A nie wyrzekła tych słów swoim szorstkim głosem, na swój sposób rozkazujący, lecz tak słodko, szczerze, tak wabiąco, że z kolei Ben Weatherstaff był niemniej zdziwiony niż Mary, gdy usłyszała jego gwizdanie.

– Hej! – wykrzyknął. – Tak to panienka ślicznie i po ludzku powiedziała, jakby panienka była prawdziwym dzieckiem, a nie starą, zgryźliwą babą. Powiedziała panienka tak, jak Dick przemawia do swoich zwierzątek na wrzosach.

– To wy znacie Dicka? – spytała Mary, rażno zwracając się ku staremu.

– A kto by go nie znał! Toć on wszędzie łązi. Nawet jeżyny dzie i kwiatki wrzosów go znają. Założę się, że mu lisy mówią, gdzie się ich młode znajdują, a pasikoniki gniazda mu swoje pokazują.

Mary miała wielką ochotę pytać dalej. Była tak zaciekawiona Dickiem, jak tajemniczym ogrodem. Lecz w tejże chwili gil śpiew swój urwał, rozwinął skrzydełka z trzepotem i odruchnął. Wizytę złożył – miał teraz inne zajęcia.

– Przeleciał przez mur! – zawołała Mary, śledząca lot ptaszka. – Teraz poleciał do sadu. O, a teraz przez drugi mur do tego ogrodu, do którego nie ma furtki!

– Bo on tam mieszka i tam się z jajka wykuł. Jeżeli sobie poszuka żony, to tylko tam, między młodymi pannami gिल्skimi, które mieszkają w starych krzakach róż.

– W krzakach róż? To tam są róże? – spytała Mary. Ben Weatherstaff chwycił za łopatę i na nowo kopać począł.

– A były dziesięć lat temu – zamruczał.

– Chciałabym zobaczyć te róże – powiedziała Mary. – Gdzie jest zielona furka? Gdzieś przecież być musi.

Ben łopatę w ziemię zatknął i wyglądał tak niemiło, jak na początku ich znajomości.

– A była, była dziesięć lat temu, ale teraz nie ma – powiedział.

– Furtki nie ma? Musi być! – zawołała Mary.

– Nie ma i nikt nie znajdzie, i nikomu nic do tego. Niech panienka nie będzie wścibska i nie wtyka nosa w nieswoje rzeczy. No, a teraz do roboty! Niech panienka idzie się bawić. Nie mam już czasu.

Potem zarzucił sobie łopatę na ramię i odszedł, nie spojrzawszy nawet na dziewczynkę.